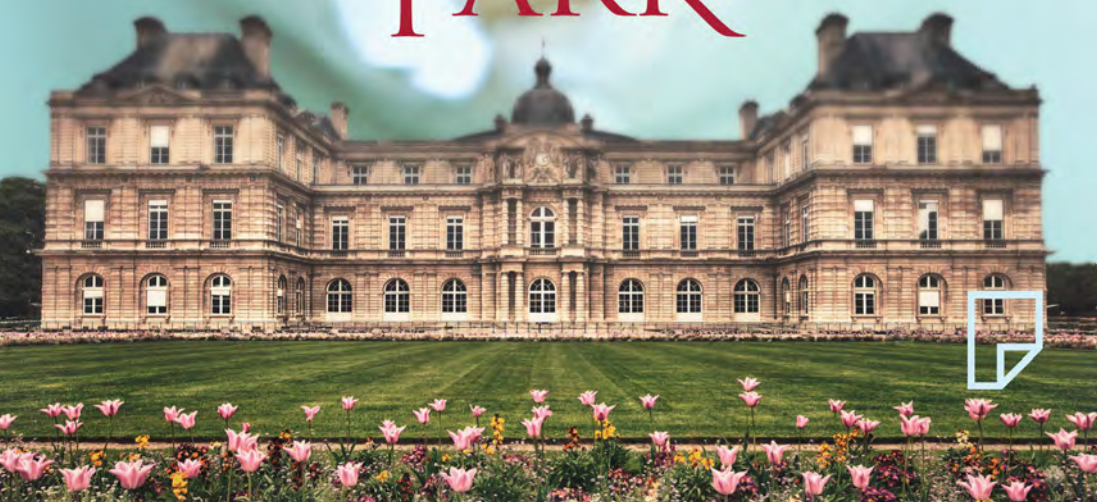


DLA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW SERIALU DOWNTON ABBEY

ELIZABETH COOKE

Tajemnice
RUTHERFORD
PARK



W nocy spadł śnieg. Wielki dom stojący na krańcu doliny przywodził na myśl starodawny samotny okręt żeglujący po białym oceanie. Tego wrażenia nie zakłócały rozciągające się w sporym oddaleniu od niego park, las, ogrody i patia ani wznoszące się za nim rozległe, porośnięte lasem i wrzosowiskiem wzgórza. Granicę posiadłości od południa i wschodu wyznaczało szerokie zakole rzeki, na zachód zaś lśniła szara, obwiedziona falbaną lodu lustrzana ta a jeziora.

Choć było jeszcze wcześnie, Rutherford nie spało. Nigdy zresztą nie zapadało w sen do końca – aby wielki majątek funkcjonował sprawnie, musiała się w nim nieprzerwanie toczyć ciężka praca. Rutherford wzniesiono dzięki wpływom i potęgde; potęga i wpływy były udziałem jego właścicieli po dzień dzisiejszy. Główny budynek w stylu Tudorów, pod który kamień węgielny położono w 1530 roku, rozrastał się o wciąż nowe przybudówki, aż po te ostatnie, późnowiktoriańskie. Majątek Rutherford obejmował przyległe farmy i wioski, całą długą dolinę w kierunku Yorku, zmieniał wszystko na swej drodze, warunkował ludzkie życie i kształtował krajobrazy.

Na pierwszym piętrze, w oknie nad tarasem, paliło się światło, a ciężkie zasłony w największym pokoju zachodniego skrzydła zostały już rozsunięte. Nie wybiła jeszcze siódma, lecz Octavia Cavendish nie spała już od jakiegoś czasu. Siedziała otulona długim do ziemi czarno-białym satynowym szlafrokiem od Poireta, podszytym sobolami, który William przywiózł jej z Londynu

półtora roku temu. W obłożonym wapieniem kominku płonął ogień, a na bocznym stoliku czekała już poranna herbata.

Wokół pani domu krzątała się Amelie, jej pokojówka. Wykładała właśnie stroje na nadchodzący dzień – cztery komplety. Do lunchu suknia lawendowa, a może ta poranna, szara, aksamitna? A oto popołudniowa. Na wieczór zaś strojna, z białego tiulu, z zieloną aplikacją. Na toalecie Amelie rozłożyła biżuterię należącą niegdyś do matki męża Octavii – ciężkie szmaragdy, oprawione w złoto i opale, których szczególnie nie znosiła. W pokoju pełnym jedwabiu i innych wytwornych tkanin Octavia wyglądała – i czuła się – niczym przekwitła róża, więdnąca w bijącym od kominka cieple.

– Lawendowa – postanowiła w końcu. Amelie zgodnie skinęła głową, przewiesiła suknię z szarego aksamitu przez ramię i wycofała się do garderoby.

Octavia wstała i wyjrzała przez okno na ośnieżony świat. Już ponad godzinę temu zauważyła ogromną brzozę, która zwaliła się u samego szczytu alei dojazdowej. Teraz przyglądała się mężczyznom zgromadzonym u stóp wygiętych w łuk stopni – ich jednobarwnym sylwetkom na tle gołych gałęzi i zrudziałych zeszłorocznych liści.

Poczuła przemożną chęć, by wyjść na dwór – wyjść i posłuchać, o czym rozmawiają. Mogłaby pobiec przez śnieg, jak robią to dzieci. Przypomniała sobie, jak biegła przez ten sam nieskazitelny trawnik i to samo idealnie wypoziomowane patio, kiedy po raz pierwszy przyjechała tu z Williamem jako jego dwiętnastoletnia narzeczona. Tryskała wtedy szczęściem, które tak szybko unicestwiono, i, jak się okazało – zupełnie niepożądanym entuzjazmem. Wróciła myślami do chwili, kiedy tamtego pierwszego dnia, jadąc starym zaprzężonym w dwa konie powozem mijала dom zarządcy przy bramie do majątku. Powóz przechylił się i zachybotał, skręcając w aleję, a jej oczom ukazała się rezydencja Rutherford ze swymi wieżami, wielodzielnymi oknami

i spiralnymi kominami. W blasku popołudniowego słońca prezentowała się tak pięknie.

Octavia wyprostowała się podświadomie. Oczywiście wyjście na dwór nie wchodziło w grę. Nie oczekuje się tego od pani domu, z wyjątkiem sezonu polowań z udziałem gości i tych wiosennych lub letnich dni, kiedy w specjalnie przeznaczonym do tego stroju można od czasu do czasu wyjść na spacer. Poza tym widok żony ósmego hrabiego biegnącej przez śnieg uznano by za nieprzyzwoity. W żadnym razie nie mogłaby też podejść do służby i przysłuchiwać się jej pogawędkom.

Obraz przewróconego, złamanego drzewa wydawał jej się mało realny. I ta cisza, którą przyniósł wszechobecny śnieg. Panowała jakaś upiorna atmosfera. Raz, niedługo po narodzinach Harry'ego, śniło jej się, że Rutherford zniknęło. Że cały teren majątku zamigotał na ułamek sekundy i przepadł – szklarnie, jeziora, długa aleja ciągnąca się aż na skraj wzgórz – wszystko to w mgnieniu oka przestało istnieć, zostało unicestwione jednym oddechem, odesłane w niebyt jednym długim, duszącym westchnieniem.

Ciekawe, dlaczego pomyślała o tym akurat teraz? Była wigilia Bożego Narodzenia 1913 roku. Przez następne cztery dni w domu będzie roić się od gości, więc jako gospodyni ma zbyt wiele zajęć, by oddawać się fantazjom. Odwróciła się i ogarnęła pokój spojrzeniem, ze zmarszczonym czołem dokonując w myśli obliczeń. Zanosilo się na dość skromne święta – spodziewała się tylko szesnastu osób. To prawda, na Boże Narodzenie wołała gościć samych najbliższych przyjaciół. W ciągu roku i tak musiała wydawać zbyt wiele bardzo uroczystych przyjęć.

Nie miała wątpliwości, że mały parowóz, dla którego niestraszną była żadna przeszkoda, dojedzie doliną z Washwaite, ale zastanawiała się, jak konie poradzą sobie z pokonaniem zasypanej śniegiem drogi ze stacji. Uruchomienie w taką pogodę któregoś z samochodów nie wchodziło przecież w grę. Napier to

wóz z temperamentem, ba, to mało powiedziane, więc nie podjedzie się nim pod górę przed bramą, koła zaczną buksować. Natomiast jeśli chodzi o metza, to była to zachcianka Harry'ego, kupiona wyłącznie po to, by jakoś zająć chłopaka i odciągnąć go od obsesji latania. Ten mały, zielony, dwuosobowy roadster nie poradzi sobie na śniegu. William jednak z całą pewnością się uprze, żeby wziąć napiera, którego, ku zgorszeniu służby, uwielbiał prowadzić sam. Miał do tego specjalny strój – ogromną futrzaną kurtkę, tak sztywną, że można by ją śmiało nazwać pomnikiem kurtki – i dziś bez wątpienia go przywdzieje. Aleja zostanie odśnieżona, droga też, i podjazd pod górę – razem bite cztery mile. William każe służbie odśnieżać. Cztery mile. Jeszcze ośmioro gości prócz tych, którzy już przybyli. Jeszcze dwa pociągi i dwukrotny wyjazd na stację. Charlotte i Louisa wrócą jednym pociągiem, tym popołudniowym, a Hélène de Montfort – tym przed lunchem.

– O, Boże – mruknęła pod nosem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Amelie pospieszyła otworzyć. Octavia wiedziała kto to. Trzy donośne, zdecydowane stuknięcia nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

– Jaśnie panie – wymamrotała pokojówka, otwierając drzwi przed mężem Octavii.

W obitym żółto-białą tkaniną sanktuarium Octavii William Cavendish wyglądał jak zawsze nie na miejscu. Podeszedł sztywno do żony i złożył na jej policzku suchy, oszczędny pocałunek. Pachniał mydłem do golenia i – gdzieś w tle – psem. Jego spaniel Heggarty sypiał w jego pokoju. Apartament Williama urządzono znacznie bardziej spartańsko niż jej sypialnię i Octavia rzadko przekraczała jego próg. Pomalowany na niebiesko, skąpo i prosto umeblowany, wyglądał na uderzająco męski. Ściany zdobiły tylko obrazy przedstawiające sceny myśliwskie oraz kosztowne płótno Landseera, według Williama zdecydowanie zbyt sentymentalne, ale i tak je kupił. William nachylił się teraz ku żonie,

lecz sprawiał wrażenie, jakby nie chciało mu się zginać pleców. Był wysoki i barczysty.

– Schodzisz na śniadanie? – zapytał.

Uniosła brew.

– Przyszedłeś specjalnie, by mnie o to zapytać? Najdroższy, jakież to romantyczne.

William nie uśmiechnął się w odpowiedzi. Ledwie dostrzeżalnym spojrzeniem zaznaczył, że uważa obecność Amelie za niepożądaną.

– Zostaw nas samych – rzuciła Octavia. Pokojówka zniknęła, zabierając ze sobą tacę z nietkniętą herbatą i zamykając drzwi sypialni.

– Źle się czujesz?

– Nie, bynajmniej – zaprzeczyła. – Czemu pytasz?

Wydał wargi i zakołysał się na piętach. Był od niej o dwa-dzieścia lat starszy. Czasem, gdy tak stał z rękami założonymi za plecami, przypominał jej ojca, który za chwilę mógł wybuchnąć gniewem.

– Cooper mi mówił, że rano byłeś na dole – wyjaśnił.

Cooper, jego kamerdyner.

– Cooper? – powtórzyła rozbawiona. – A dlaczego miałyby to interesować Coopera?

William pozwolił, by jej łagodny żart zawisł na chwilę w powietrzu.

– Coopera to nie interesuje – odparł – ale pani Jocelyn mu powiedziała.

Octavia westchnęła.

– Boże, jak oni plotkują.

– Octavia – upomniał ją William. – Widziała cię pokojówka. Zresztą sama z nią rozmawiałaś.

Machnęła lekceważąco ręką, jakby chciała, by dał spokój tym dochodzeniom.

– Spodziewam się, że to koniec świata.

– Co ty sobie myślałaś?

Spojrzała mu w oczy.

– Dziękuję. Uznałeś właśnie, że w ogóle myślałam – mruknęła z uśmiechem. – Chciałam tylko popatrzeć na drzewo.

– Popatrzeć na drzewo? Po co?

Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna zdradzić, że poczuła dziecinny impuls, by wyjść i przebiec się po śniegu, ale zrezygnowała.

– Nie mam pojęcia – odparła w końcu. – Po prostu wcześniej się obudziłam.

– Wprowadziłaś służbę w konsternację – oznajmił.

– Niezmiernie mi przykro.

Przez chwilę patrzył na nią, potrząsając głową. Czasem specjalnie wprowadzała go w zakłopotanie. Myślała sobie, że to mu dobrze robi. Poza tym gdzieś głęboko, daleko w jej duszy wciąż tliło się nikłe światełko. Poczucie humoru. Coś, czego nie udało się zdusić ani jemu, ani temu brutalowi jej ojcu.

– W takim razie zobaczymy się na lunchu – powiedział, odwracając się. – Jadę po Hélène de Montfort.

– Nie zapomniałam. – Odwróciła się do lustra i skrzywiła się na samą myśl.

Było jeszcze ciemno, kiedy Emily Maitland przystąpiła do pracy.

Jej dzień zaczynał się o piątej trzydzieści, a więc zimą na długo przed świtem. Obudziła się jak co dzień skostniała z zimna w swym metalowym łóżku, w pokoiku na ostatnim piętrze, który dzieliła z dwiema innymi pokojówkami – Cynthią i Mary. W ciemności naciągnęła bieliznę, po omacku, z zamkniętymi oczami zapięła długą granatową wełnianą sukienkę i zawiązała w pasie biały płócienny fartuszek. W pokoju na poddaszu było lodowato, nawet jej myjka przymarzła do miski z wodą. Emily przebiła palcem cienką warstewkę lodu w dzbanku i rozsmarowała sobie po twarzy parę kropli. To musiało wystarczyć.

Od dwóch miesięcy zawsze wstawiała pierwsza. Ubierała się szybko. Czasem zdarzały się jej zawroty głowy – przytrzymała się wtedy nocnej szafki. Nie miała pojęcia, jak czuje się człowiek pijany, ale teraz myślała, że na pewno jakoś podobnie. Odkryła, że aby zwalczyć to uczucie, trzeba uszczypnąć się w szyję tuż nad obojczykiem. Pomagało. Widziała, jak jej matka tak robiła.

– Wstawajcie – szepnęła do koleżanek. Cynthia, jak zawsze niezadowolona, odepchnęła rękę Emily, która spoczęła na jej ramieniu. – Mary – ponagliła Emily, ale Mary już nie spała. Poruszając się jak automat, zwijała włosy i spinała je pod czepkiem.

– Zamarznę na śmierć po tej stronie – narzekała. – Cyn, dzisiaj ty tu śpisz. Jesteś gruba jak beka, sadło cię ogrzeje. – Odwróciła się do Emily. Jej twarz w mroku była tylko jasną, zamazaną plamą. – Czemu tu jest tak cholernie zimno? – zapytała.

– Chyba śnieg spadł – odpowiedziała Emily, po czym po ciemku doszła do okna i uchyliła lichą zasłonę. – Bo światło jest jakieś inne. – Wyrzała. Śnieg leżał na dachu z ołowianej blachy i na finezyjnych spiralach kominów, jaśniejących w półmroku.

– Nic dziwnego – mruknęła Mary, naciągając wyjęte spod poduszki wełniane pończochy, by nie stawiać stóp na lodowatej podłodze. – Do jasnej cholery, nic dziwnego.

– Bo panna Dodd cię usłyszy – ostrzegła ją Emily, która stała już z ręką na klamce.

– Wszystko mi jedno – odszepnęła Mary. – Ma drzwi obite lcem. U niej jest o wiele cieplej niż u nas. Jeszcze trochę, a rzucę tę robotę i wrócę do domu.

Wszystkie wiedziały jednak, że to niemożliwe. Mary musiała zarobić swoje czternaście funtów rocznie, żeby wysłać je ojcu. Nie mogła sobie pozwolić, by zarządzająca pokojówkami panna Dodd zwolniła ją za niewłaściwe słownictwo, a wystarczyło jedno zuchwałe słowo, by to zrobiła. Emily słyszała, jak Mary klnie w poduszkę, ale na dole zachowywała się jak wszyscy: z lekko pochyloną głową i spuszczonego wzrokiem, w całkowitym

milczeniu, na kolanach czyściła dywany lub szorowała ruszt w kominku.

Na pierwsze piętro schodziło się po wąskich schodach. Tam zaczynał się korytarz prowadzący do schodów dla służby na drugim końcu domu. Dokładnie poniżej znajdowała się sypialnia jaśnie pana. Dziewczęta musiały nauczyć się szczególnie lekko stąpać po drewnianej podłodze, tak by pan nie słyszał ani jednego słowa, ani nawet echa kroku. Najważniejszym zadaniem pokojówki jest pozostać niezauważoną – być widmem, które co rano roznosi węgiel po sypialniach. Zjawą bez ciała i oddechu. Do chwili, kiedy ręka nie dotknie jej szyi, dopóki nie pogłaska ramienia wystającego spod podwiniętego rękawa sukni.

Na klatce schodowej dla służby Emily zacisnęła oczy, marszcząc przy tym twarz. W tym miejscu tydzień temu ochmistrzyni przyłapała ją na płaczu – nadbiegła po schodach, zanim Emily zdolała doprowadzić się do porządku.

– Co się z tobą dzieje? – wykrzyknęła ostro pani Jocelyn. – Zejdź z drogi!

Emily zrobiła, co jej kazano. Tak czy inaczej, czuła się dziwnie. Zapomniała już, jak to w ogóle jest – płakać. Płacz został wyparty przez wstyd i przerażenie. W tych nieszczęsnych chwilach stawała z suchymi oczami i spieczonymi ustami, wpatrując się w przyszłość, daleko poza swój obecny smutek. Zabrał jej serce, myślała sobie. Zabrał i połamał tak, że ledwie biło, odmierzając czas niczym zepsuty zegar.

Jak najszybciej ruszyła do piwnic i koło kuchni natknęła się na Alfreda Whitleya.

– Daj węgiel – syknęła do niego i wyrwała mu wiadro. Potem pożałowała, że zachowała się wobec niego niegrzecznie. Alfred był głupi, ale miły. Jego usta wydawały się za duże. Miał szczerą, mało inteligentną twarz i wiecznie kapło mu z nosa, który wycierał w rękaw.

– Nasz Alfred jest jak deszczowy weekend – mówił John Gray, zarządca majątku. – Nie ma się czemu dziwić, pochodzi ze wsi. Rozumu tam nie hodują. Za to gnoju dużo.

Mimo wszystko szkoda tego Alfreda. Biedy Al e. Można mu tylko współczuć. Niespełna trzynaście lat, a robi najgorszą robotę, jest chłopakiem do wszystkiego. Z drugiej strony, kiedy się na niego patrzy, to można sądzić, że nic sobie z tego nie robi. Deszcz nie deszcz, a on na podwórzu, włosy przyklepione do czoła, i ciągle tylko rąbie drewno na opał. Reszta służby pilnuje, by zarządzający męską częścią służby pan Brad eld nie zobaczył nigdy Al e-go w najgorszym stanie – kiedy wykończony, ubłocony i mokry siedzi na tylnych schodkach z kubkiem kakao. Pan Brad eld bez wahania zegnałby go stamtąd kopniakiem. Bo pan Brad eld lubi, kiedy schodki są czyste i zamiecione.

Emily przemknęła teraz przy drzwiach do pokoju pana Bradelda. Widziała, że pali się u niego oliwna lampa – w drzwiach była szybka. Pospieszyła dalej z dostawą węgla. Weszła po drugich schodach i pchnęła obite grubym zielonym sukniem drzwi.

Schody wyprowadziły ją do południowego skrzydła. Znalazła się obok gabinetu jaśnie pana, archiwum i biblioteki. Nie lubiła tych pomieszczeń – nie tyle samego gabinetu, który był raczej przyjemnym, niewielkim pokojem z pięknym biurkiem i małym kominkiem – rozpałała w nim w pierwszej kolejności – ile przede wszystkim archiwum pełnego rzymskich pamiątek należących niegdyś do ojca lorda Williama. Należało tu odkurzać wszystkie półki, pełne poplamionych ptaszków i alabastrowych kotów, małych rzeźb i doniczek, kości wykopanych na Beddersley Hill, gdzie, jak mówiono, pochowani byli starożytni królowie. Dziwne, zabawne przedmioty. Od samego patrzenia przechodziły ją ciarki. Nienawidziła zwłaszcza dwóch wydłużonych gurek kotów strzegących obu stron drzwi.

Upewniwszy się, że ogień chwycił, przysunęła osłonę kominka i wróciła do holu. Przecięła marmurową posadzkę pod

wysokim, łukowatym sklepieniem. Znajdowała się w najstarszej części domu, która kiedyś, zanim piętnaście lat temu za fortunę lady Cavendish lord William rozbudował budynek, stanowiła jego główną część. Mówiono, że jedynym powodem, dla którego Cavendish w ogóle zawracał sobie głowę małżeństwem, był dochód żony z przędzalni wełny, ale Emily nie miała pojęcia, czy to prawda. Jej zdaniem ogromny stary hol, którego sufit podierały potężne wiekowe belki, wydawał się zagubiony pośród nowoczesnych przybudówek. Alfred zapalił już lampy przy wejściu i przy głównych schodach. W ciemnościach rozlewały się kałuże kolorowego światła.

Emily weszła do salonu. O tej porze dnia pośpiech był sprawą kluczową. Na tym piętrze należało rozpalic w pięciu kominkach, a o szóstej, najpóźniej tuż po – w sypialniach. Cynthia i Mary pomagały dziewczynie do wszystkiego rozpalic pod kuchnią, pozamiatać korytarze i podać poranną herbatę z tostem wyżej postawionej służbie: Amelie, pokojówce pani, panu Cooperowi – kamerdynerowi jaśnie pana, oraz pani Jocelyn. W zeszłym miesiącu pomagały też dziewczce kuchennej, której zadaniem było utrzymywanie ogólnego porządku w kuchni. Enid Bliss rozchorowała się na bronchit i pewnego dnia obudziła się i nie mogła oddychać. Fakt ten trzy służące próbowały ukryć przed ochmistrzą.

Emily, pracując, w myśli prowadziła obliczenia. Trzy grupy gości już przybyły, co dawało osiem pokoi na górze. Jej ręce wprawnie układały papier, rozpałkę i węgiel. Skończywszy, wytarła ręce o fartuch, wstała i natychmiast poczuła nudności. Czekała, aż przejdą, rozejrzała się dokoła. W mrocznym pomieszczeniu majaczyło mnóstwo kształtów: krzesła, stoły, lampy, boczne stoliki z wazonami kwiatów, inne z kwiatami w doniczkach, półki z niezbytymi porcelanowymi gurkami, bardzo drogimi, jeśli wierzyć słowom pana Bradelda, osłony kominkowe, pufy.

– Pewnego dnia wrzucę tę całą kolekcję do rzeki – podobno powiedziała raz pani, zdenerwowana, że pokojówka jeszcze po

śniadaniu polerowała meble. Tak przynajmniej twierdziła pani Jocelyn.

– Postępową kobietą – brzmiał werdykt ochmistrzyni. – Ale wątpię, żeby naprawdę miała zamiar to zrobić. Przecież klasa wyposażenia wnętrz ma wielkie znaczenie.

Emily uznała to za zabawne. Nie samą uwagę, ale sposób, w jaki została wypowiedziana. Pani Jocelyn nie mogła, choć bardzo się starała, ukryć swojego akcentu. Dwadzieścia siedem lat służby u Cavendishów, a mimo to w jej głosie nadal pobrzmiewały szerokie, płaskie dźwięki typowe dla mieszkańców Leeds.

Emily wpatrywała się w przestrzeń. Czy to prawda, że pani Jocelyn była kiedyś mężatką? Do każdej ochmistrzyni należało zwracać się per „pani”, niezależnie od tego, czy miała męża czy nie. Nie mogła sobie jednak wyobrazić, by ktokolwiek trzymał kiedyś panią Jocelyn w ramionach, tulił ją do siebie i całował jej pospolitą twarz. Ochmistrzyni nosiła wprawdzie obrączkę, ale to o niczym nie świadczyło, podobnie zresztą jak tytuł „pani”. Obrączkę mogła włożyć sobie sama. Zawsze kiedy przy porannej modlitwie służby w głównym holu pani Jocelyn z nabożeństwem składała ręce, jej obrączka pobłyskiwała jasno. Emily zdjęła sobie włos z oka. Cóż, może mimo wszystko ktoś kiedyś kochał panią Jocelyn. Może gdzieś na świecie istnieje jakiś pan Jocelyn, a pani Jocelyn potrafiła sprawić, że mężczyzna otoczył ją uwielbieniem. Czyli umiała dokonać tego, co nie udawało się Emily. Przycisnęła ręce do fartucha. Serce łomotało jej w piersi. Nic nie było widać: nic, zupełnie nic prócz tego, co znajdowało się w tym pokoju i w tym ogromnym domu. Poza tym – zupełnie nic. Nic prócz nocy. Nigdy nie znajdzie się już w świetle. Nigdy, nigdy.

Podeszła do drzwi salonu. Było jej ciężko na sercu, ciężko na duszy. Miała dość pokoiów, schodów i kominków, i tajemniczej ręki, która dotknęła jej ręki, miała dość jego, dość otchłani, która otwierała się wokół niej coraz szerzej i szerzej, jakby była żywym, chcącym ją pożreć organizmem. Emily wzięła się i skręcała

w ciemnościach od poczucia winy, lepkiego jak asfalt na szosie, który latem przylepia się do podeszew butów.

– Boże, pomóż mi – mruknęła pod nosem i wyszła do holu.

Niedaleko od niej, u stóp głównych schodów, stała lady Cavendish.

– Och, jaśnie pani – szepnęła Emily. Nie wiedziała, co zrobić. Lady Cavendish nigdy nie schodziła o tej porze. Zresztą nikt z rodziny tego nie robił, nikt nigdy nie ruszał się ze swojej sypialni przed śniadaniem. Emily próbowała usunąć się pod ścianę. Tego właśnie od niej oczekiwano, w razie gdyby nieoczekiwanie pojawił się ktoś z państwa. Miała rozpląszczyć się przy ścianie i patrzeć w podłogę.

– Czy to... Malham? – zapytała lady Cavendish.

– Maitland, jaśnie pani. – Emily ośmieliła się rzucić krótkie spojrzenie w górę. Jaśnie pani patrzyła na nią z rozbawieniem. Była owinięta czymś zdumiewającym, podszytym czarnym futrem, i miała do tego idealnie dobrane kapcie.

– Znalazłam się w niewłaściwym miejscu, Maitland – powiedziała lady Cavendish, a z jej twarzy nie znikał uśmiech. Pochyliła się nieco do przodu. – Ale przyszłam na coś popatrzeć.

Emily nie odpowiedziała. Jaśnie pani minęła ją i poszła dalej korytarzem. Okrycie ciągnęło się za nią po marmurowej posadzce. Potem obejrzała się przez ramię.

– Drzwi są otwarte? – zapytała.

Drzwi wejściowe do domu były masywne. Pan Brad eld miał otworzyć je dopiero za godzinę.

– Nie, jaśnie pani – szepnęła Emily.

Lady Cavendish zatrzymała się.

– Och, jakież to męczące – rzuciła najwyraźniej do siebie.

– Zostać więźniem we własnym domu. – Słowa te wypowiedziała lekkim tonem, kierując się z powrotem w stronę schodów.

– Pewnie niedługo Amelie przyniesie mi herbatę – dodała. – Czy mogłabyś jej przekazać, że czekam?

Emily wpatrywała się w nią w osłupieniu. Zgodnie z hierarchią zwykłej służącej nie wolno było odezwać się do osobistej pokojówki jaśnie pani. Sama zarządzająca żeńską służbą ośmieliłaby się zwrócić do Amelie tylko w ostateczności.

– No tak, oczywiście, że nie mogłabyś – poprawiła się zirytowana lady Cavendish na widok zdumionej twarzy Emily.

– Jeśli pani sobie życzy, jaśnie pani, pójde powiedzieć pani Jocelyn.

Lady Cavendish spojrzała na nią z wysokości piątego czy szóstego stopnia. Jest taka ładna, pomyślała sobie Emily. Właściwie piękna. „Jak ptak w złotej klatce”, powiedział kiedyś pan Brad eld. Teraz wyglądała jak pozłacana – piękne włosy, piękny strój, bardzo blada cera. Może jest chora, przyszło Emily do głowy. Trzeba przecież być chorym lub szalonym, by o tej porze wałęsać się po schodach, czyż nie? Ale jaśnie pani nachyliła się ku niej lekko, przyłożyła palec do ust i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Ależ jestem niegrzeczna, że przychodzę tu i ci przeszkadzam – powiedziała. – Nie martw się, nie pisnę ani słowa. I ty też nic nie mów.

Emily znowu utkwiała wzrok w podłodze. Ani słowa. Nie piśnij ni słowa. W porządku, była do tego przyzwyczajona.

Słyszała szelest szlafroka jaśnie pani na stopniach, a potem dobiegł do niej jej głos:

– Na podjeździe zważyło się wielkie drzewo – zawołała bez troski. – Miałam zamiar na nie popatrzeć. Widać je z mojego pokoju, to przed samym domem. Zresztą wszystko jedno, możesz to powiedzieć pani Jocelyn.

Nie wybiła jeszcze siódma, kiedy wszyscy pracujący na zewnątrz: główny ogrodnik Robert March i trzej jego pomocnicy, woźnica i zarazem kowal Josiah Armitage, jego syn Jack oraz dwóch chłopców stajennych, zgromadzili się na podjeździe. Al ego,

okrytego kocem ze stajni i przepasanego starym skórzanym pasem, wysłano im do pomocy.

Wielka brzoza leżała na boku. Latem okrywało ją bujne listowie, którego część, teraz pożółkła, wciąż wisiała na gałęziach. Robert March podrapał się po głowie i stwierdził, że to tajemnica. Stare drzewo – aleję obsadzono brzozami w roku 1815 – musiało mieć słaby system korzeniowy, oświadczył, choć nie było ku temu wyraźnej przyczyny. Wszyscy przenieśli wzrok na pięćsetjardową aleję wysadzaną takimi samymi białymi brzozami, których gałęzie spotykały się wysoko w górze.

– Oby tylko kolejna się nie zwała – mruknął March pod nosem, po czym wraz z chłopcami chwycili za siekiery i piły.

Robota na mrozie należała do ciężkich. Kiedy już usunięto drobniejsze gałęzie, March kazał chłopcom pociąć je i ułożyć przed domem, pośrodku szerokiej pętli podjazdu. Będą albo na rozpałkę, albo na budowę przeszkód jezdzieckich – nic się nie zmarnuje.

Josiah Armitage spojrzał na Marcha. Ogrodnik pochodził z miasta York. Miał już siedemdziesiąt jeden lat. Teraz pochyłał się nad robotą, a kłęby wydychanej pary unosiły się nad nim niczym aureola. Był krępy i mocny w barach, miał wiecznie rumianą twarz. Josiah dobrze wiedział, że nie należy zwracać mu uwagi, aby ze względu na wiek bardziej na siebie uważał. March był bowiem zgorzkniały i zapalczywy, wręcz stworzony do prowadzenia musztry w wojsku. Josiah widział, jak młodszy ogrodnicy drżą pod jego czujnym spojrzeniem. W zeszłym roku zwolnił pracownika tylko dlatego, że ten poszedł do wioski odwiedzić żonę, która już czwarty dzień rodziła pierwsze dziecko. Mężczyzna wrócił szczęśliwy, z triumfalnym uśmiechem, lecz jego euforia nie trwała długo. March natychmiast chwycił go za kołnierz, wyprowadził na koniec podjazdu i wymierzył nieszczęśnikowi sążnistego kopniaka. Już następnego dnia Josiah widział Marcha w szklarni, jak czule zapyla rośliny, z uwagą celując skrzyconym

z trzech włosków pędzelkiem w kwiat pomidora – jak gdyby nigdy nic, jakby nie naraził młodej rodziny na biedę, pozbawiając jej jedyne go żywiciela reputacji – paszportu do otrzymania kolejnej pracy.

Pomocnicy ogrodnika i chłopcy stajenni harowali teraz pod jego wodzą, rąbiąc i piłując zawzięcie i ani na chwilę nie podnosząc wzroku znad roboty. W końcu March rozprostował plecy.

– Idź po konia – rozkazał Josiahowi. – Po konia i po wóz na siano.

Josiah wsparł się na siekance, którą trzymał w ręku, i spojrzał Marchowi prosto w oczy. Pot spływał woźnicy po twarzy.

– Jeśli mogę pana prosić, panie Armitage – ustąpił wreszcie March.

Josiah z synem ruszyli przez śnieg, zataczając szeroki łuk po trawniku, by nie przechodzić bezpośrednio przed domem. March odprowadził ich wzrokiem. Młodszy ogrodnicy wymienili za jego plecami pogardliwe uśmieszki. Jeśli Marcha dało się porównać do głazu, to Armitage był jak krzemień – twardy, ale kruchy, lecz ostry jak długa zima. Polecenia przyjmował tylko od samego lorda Cavendisha, którego syn, panicz Harry, wychował się przy woźnicy i był weń ślepo wpatrzony, podczas gdy lord przez osiem lat przebywał w Londynie, piastując zaszczytną funkcję członka Izby Gmin. Przy ojcu Harry wolał milczeć, a że ojciec był na niego cięty, to mało powiedziane. Tymczasem przez wszystkie lata dzieciństwa spędzone przy Armitage’u Harry’emu buzia się nie zamykała. Nawet teraz, gdyby miał na to choć cień szansy, chłopak wybrałby życie w cieple stajni, przy koniach. March zdawał sobie z tego sprawę równie dobrze jak inni. Mimo że Harry w nadchodzącym roku miał skończyć dziewiętnaście lat, nie zanosiło się, by sytuacja uległa zmianie.

Około dziesiątej śnieg znowu zaczął przyszyć. March przedlotnie ujrzał lady Cavendish w oknie porannego salonu. Stała z ramionami splecionymi na piersi, co wskazywało, że jest

zaniepokojona czy podenerwowana. Odsunęła się od okna, kiedy drzwi frontowe otworzyły się i po szerokich schodach z piaskowca zszedł William Cavendish w długim zimowym płaszczu.

Na widok hrabiego zdążającego w jego stronę sprężystym krokiem March uniósł rękę do czapki.

– Jaśnie panie.

Cavendish przysłonił oczy przed bijącym od śniegu blaskiem.

– Ile to jeszcze potrwa?

– Właśnie zaprzęgają konia – odparł March.

– A co z pozostałymi drzewami?

– Wygląda na to, że wszystko w porządku, jaśnie panie.

– Weź ludzi w dół alei i jak tylko przyprowadzą konia, odgarnijcie śnieg. O dwunastej chcę jechać samochodem na stację.

March skinął głową. Czekał, aż William Cavendish jeszcze coś doda – na przykład proponuje, żeby ludzie napili się czegoś gorącego z tyłu domu przy kuchennym wejściu lub w chacie Marcha, stojącej w ogrodach warzywnych. Cavendish jednak nic nie powiedział. Po prostu odszedł.

Koń pociągowy pojawił się po kwadransie. Josiah Armitage szedł przy nim i prowadził go za lejce, a Jack siedział na koźle. Poprzez delikatną zasłonę sypiącego śniegu cała trójka, a zwłaszcza koń – ciemnosiwym, z wielkimi, ciężkimi kopytami pokrytymi długą białą sierścią – przywodził na myśl duchy czy niewyraźne bazgroły na szarej kartce. Zbliżyli się do podjazdu, przybrali rzeczywistą postać. Zwierzę, mierzące w kłębie prawie dwa metry i ważące dobrze ponad tonę, przysłoniło całe pole widzenia. Jego oddech parował. Granulki lodu osadzały się na uprząży i miętko wyściełanym chomacie wokół szyi. Chłopcy przestali piłować. Al e podniósł wysoko rękę i położył ją na chomacie. Zwierzę odwróciło potężny, ciężki łeb i spojrzało na chłopca. Al e wtulił twarz w ciepły koński bok.

– Wenceslas – powiedział. – Dobry konik, dobry.

Octavia nie mogła sobie przypomnieć, czy była w jej życiu chwila, kiedy nie obawiała się Héléne de Montfort.

Choć słowo „strach” można uznać w tym przypadku za mocne. Uczucie, które towarzyszyło Octavii, miało nieco subtelniejszy charakter. Był to niepokój, który odczuwa kobieta, znajdując się w pobliżu drugiej kobiety – Octavię ścisnęło w dołku, kiedy Héléne przestępowała próg pokoju.

Była uroczą kobietą – trudno zaprzeczyć. Bardzo daleka kuzynka Williama, wywodząca się ze sławnych Beckforthów, mieszkała w Paryżu i z rozmachem prowadziła – o ile można wierzyć jej słowom – dom znany z gościnności. Jaka mogła więc być, jeśli nie uroczą? Octavia westchnęła i pociągnęła lekko gruby sznur od zasłony, by wygładzić ciężką aksamitną tkaninę. Héléne zawsze miała na sobie coś eleganckiego z paryskiego Wortha (domu mody House of Worth), małą, zuchwałą twarz, otoczoną masą rudoblonde włosów, a na ustach lisi uśmiešek. Octavii zapadły w pamięć zasłyszane kiedyś dawno, na jakimś przyjęciu w Londynie, czyjeś słowa, że Héléne ma „roztąnczone oczy”. Być może chciały tańczyć z mężczyzną. Sama powiedziałaaby raczej, że Héléne, patrząc, kalkuluje, ocenia. Jeśli jej oczy rzeczywiście tańczyły, to robiły to z żywą przebiegłością.

Octavia stała w drugim saloniku i czekała. Héléne oczywiście uzna, że śnieg to coś niezwykle zabawnego. Och, powie, to takie cudowne, tak bardzo „północne”, że spadł u nich śnieg, że jest lód, że drzewo się zważyło, że tuż przed wejściem do domu jest morze wiórów. Będzie tak nieziemsko *gauche*. Octavia powoli odwinęła sznur z palców.

Nadjechał samochód, skręcił już przy stróżówce. Rozległo się pukanie do drzwi i w saloniku ukazał się pan Bradfield.

– Madame de Montfort nadjeżdża, jasnie pani – oznajmił.

– Wiem – odparła Octavia. – Przyprowadź ją prosto do mnie. Sprawdź, czy w pokoju na górze jest ciepło. Niech Amelie zajmie się jej garderobą.

Odchodząc, Brad eld lekko dyskretnie uniósł brew. Oczywiście wszystko to zostało już dawno zrobione.

Z holu dobiegły hałasy. Odgłos otwieranych drzwi, ożywione głosy. Nash, lokaj, znowu zbiega po schodach przed wejściem w ten swój irytujący sposób, jakby po damsku. Octavia odwróciła się w stronę lustra nad kominkiem i poprawiła włosy. Jakie to głupie, że Nash mnie denerwuje, pomyślała. To bardzo zręczny chłopak, ostrożny. Słyszała, jak wyładowują bagaże. Hélène zapewne wydeła wargi i przygląda się zamieszaniu wokół swojej osoby. Służba powinna być niewidoczna. Drzwi zatrzęsnęły się z hukiem.

I nagle Hélène już stała w progu salonu, ściągała długie rękawiczki, zrzucała z siebie obszerny płaszcz, wyciągała przed siebie ręce.

– Och, jak strasznie zmarzłam – powiedziała ze śmiechem. Idący za nią William ominął ciśnięte na podłogę palto, a Brad eld schylił się, by je podnieść. – Omal nie zmarzłam na śmierć! Krew stanęła mi w żyłach! Tylko dotknij! – zawołała, przyciskając twarz do policzka Octavii. – Moja droga – szepnęła. Pachniała jakimiś młodzieżowymi perfumami – chyba ołki. Odsunęła się i z odległości wyprostowanej ręki obrzuciła Octavię uważnym spojrzeniem. – Jak ty pięknie wyglądasz! – wykrzyknęła. – Co to? Callot Soeurs? Nie miałam okazji widzieć ich sukien dziennych. Jaka niezwykła, i najzupełniej doskonała! Co za odwaga, że zimą wybrałaś lawendowy. W lawendowym wygląda się tak blado. Ale nie ty! – Uśmiechnęła się do Octavii. Potężny kapelusz podróżny z pękiem bażancich piór dodawał jej jeszcze wzrostu, choć i tak była nieprzeciętnie wysoka. – Ty, kochanie – dodała, nachylając się nad Octavią, jakby zamierzała powierzyć jej sekret – potra sz go nosić.

Jesteś parodią samej siebie, pomyślała Octavia. Wiedziała, że już wieczorem ożywioną Hélène zastąpi zamyślona, re ekcyjna, inteligentna Hélène, a jej udział w rozmowie przybierze formę

ciętej riposty. Ale zawsze – zawsze – ta pierwsza, natarczywa fala słów zwała ją z nóg.

– Hélène – odezwała się z uśmiechem, a przepona nieco jej się rozluźniła. – Proszę, wejdź i usiądź.

Kiedy wczesnym popołudniem William udał się do swego pokoju, sprzed domu dochodziły jeszcze odgłosy pracy.

Lunch upłynął całkiem przyjemnie. Mówiono oczywiście przede wszystkim o pogodzie. I o Stanning eldach, którzy wprawdzie już przybyli, ale wyjechali na cały dzień do Richmond odwiedzić krewnych. O Harrym, który zabrał się z nimi. O uroczej, udekorowanej wieńcami świątecznymi stacyjce kolejowej Wasthwaite i o rubasznym zawiadowcy nazwiskiem Baddeley. Cała trójka rozważała, czy jest sens, by William znowu wyjeżdżał napierem, tym razem po Louise i Charlotte, które popołudniowym pociągami wracały z Manchesteru.

Mimo to wchodząc na górę, William z każdym krokiem wypływał z siebie przekleństwo. Przeklinał samego siebie; przeklinał tę okropną kobietę, która wciąż zaprzętała mu myśli; przeklinał pogodę; przeklinał wesołość Baddeleya, Wasthwaite i tę całą cholerną świąteczną farsę. Wyjrzawszy przez okno, przeklął cholernego Marcha, którego nienawidził jego ojciec i którego on sam nienawidził, lecz bez którego wiedzy ogrodniczej obaj byliby bezradni. Przeklinał swoją własną, odziedziczoną po przodkach cechę, by puszczać różne sprawy w niepamięć – pozwalać im po prostu przemijać. Wyobrażał sobie, że problem sam się rozwiąże, pod warunkiem że zostanie zlekceważony.

– Do diabła z nią – mruknął. – Do diabła, do diabła.

Odwrócił się od okna, od widoku mozolnie naprężonego karku konia, ciągnącego wyładowany wóz po śniegu. Zacisnął pięści i rozejrzał się za czymś, czym mógłby się zająć. Powiedział Octavii, że źle się czuje, ale oczywiście było to kłamstwo. Zostawił ją sam na sam z Hélène. Dobrze wiedział, że to z jego

strony okrutne, wychodząc z pokoju, wychwycił nawet jej błagalne spojrzenie, a przez całą drogę przez hol słyszał zgrzytliwy głos Hélène.

Spojrzał na swe odbicie lustrze. Mężczyzna słusznej postury, niepozostawiający wątpliwości co do swojej narodowości i pozycji. Wyprostowany jak struna, broda uniesiona wysoko, ramiona sztywne. Tę postawę wpojono mu w dzieciństwie, kiedy codziennie spędzał godzinę na ustawionym w pokoju dzieciennym specjalnym krześle ćwiczebnym, ze stopami przywiązanymi do nóg mebla, a tułowiem – do jego oparcia. Że też takie rzeczy w ogóle były na porządku dziennym, pomyślał. Zastanowił się nad swoją twarzą, tak podobną do twarzy ojca. Wciąż miał ciemne włosy, ironiczny uśmiech, zaznaczający dystans do samego siebie, a w oczach chłopięcy błysk i nutkę poczucia humoru. Wszystko to składało się, jak to ujęła Octavia, na bardzo przyjemne oblicze. Spojrzał w dal, po czym bez chwili wahania chwycił ze stoliczka ciężki porcelanowy dzbanek i cisnął nim z całej siły o ścianę przy łóżku. Naczynie rozbiło się na kawałki, które rozsypały się po podłodze. Podeszedł do nich i nogą rozsunał je na wszystkie strony.

Co robić? Jezu Chryste, oni wszyscy byli od niego zależni. Każdy człowiek pod tym dachem, w tym domu, zależał tylko od niego...

Pewnego sierpniowego popołudnia, kiedy William miał pięć, może sześć lat, jego ojciec siedział na brzegu rzeki poniżej Rutherford. Rano padało. William zapamiętał niezwykłą świeżość trawy, przejrzystość wody. Ojciec z podkładką do rysowania na kolanach szkicował jakąś roślinę. Elegancki frak leżał zmięty u jego stóp, pobrudzony trawą. William zbiegł z długiej, łagodnej skarpy i chciał schować się u ojca pod pachą.

– O co chodzi? – zapytał ojciec.

– O nią.

– Czyli o kogo?

Zapadła cisza. William kopał kamyki do rzeki, zdzierając czubki butów.

– O nikogo.

Ojciec cierpliwym gestem odłożył ołówek.

– Chodź ze mną – powiedział. – Do domu.

William nie chciał się podnieść.

– O kogo chodzi? – zapytał jeszcze raz ojciec. – O panią Kemble?

To była znienawidzona niania. William zaczął płakać.

Ojciec podciągnął go na nogi i mocno, zdecydowanie złapał za rękę, splatając palce z jego palcami.

– Williamie, posłuszeństwo nie zawsze jest najważniejsze – powiedział. – Ważniejsza jest odwaga.

Odwaga, nie posłuszeństwo.

Odwaga. Chryste.

Żałował, że nie ma przy nim ojca. Tęsknił za nim z całego serca. Ojciec zmarł, kiedy William miał szesnaście lat, a matka – kiedy miał dwadzieścia sześć. Byli cichą, kochającą się parą. Trudno uwierzyć, że oboje wywodzili się z Beckforthów, tej łupieżczej, zachłannej rodziny, która niegdyś rządziła własną wyspą w Indiach Zachodnich i zagarniała wszystko, co tylko mogła: cukier, niewolników i podatki. Dziadek Williama podarował synowi Rutherford, bo wstydził się, że bardziej interesują go rośliny, kwiaty i egipskie koty niż życie w Londynie i przebywanie na królewskim dworze. Ojciec Williama został więc osadzony w Rutherford, a właściwie zesłany do majątku, by uniknąć sytuacji, w której reszta Beckforthów wyśmiewa go i tym samym wykluczy ze swego grona. Nagła śmierć wuja Williama i odziedziczenie tytułu przez jego ojca były dla wszystkich wstrząsającą niespodzianką. Mimo to ojczulek nie dbał o Londyn. Lubił hrabstwo York, miejsce swojego zesłania, a z czasem nawet je pokochał. Interesowały go farmy i ogrody, wybudował wielką szklarnię i oranżerię. Posiadał tuzin psów, stajnię pełną koni, jeden nawet

brał udział w wyścigach w Yorku. Był życzliwym, dobrodusznym człowiekiem. Nigdy nikogo nie oszukał.

Nigdy nikogo nie oszukał. William opadł na najbliższe krzesło i oparł głowę na rękach.

Zawsze kiedy tęsknił za ojcem i pragnął jego obecności, szedł do archiwum i po kolei brał do rąk jego cenne amulety i kamienie. Gdyby prawda wyszła na jaw – a była to prawda, której wyjawić nie mógł nikomu, nawet Octavii – to stałoby się jasne, że wręcz trząsł się z pragnienia, by utrzymać przy sobie to, co umiłował jego ojciec. Udał się do archiwum również w dniu pogrzebu Williama Cavendisha, siódmego hrabiego Rutherford, rzucił się na egipski fotel po ojcu i przygniotła go przerażająca samotność. I równie przerażająca odpowiedzialność, że zostanie ósmym hrabią, i w konsekwencji będzie musiał tak wiele osiągnąć.

– Ojciec – wymamrotał. – Ojciec, na Boga, powiedz mi, co mam robić.

Zaczynało zmierzchać. Pocięte drewno wywieziono aż za ogrodę kuchenne. Kiedy światło dzienne całkiem ustąpiło ciemności, w Rutherford zapalono lampy. W zasypanym śniegiem parku panowały cisza i spokój. W podziemiach domu zaś – atmosfera pełna napięcia.

Emily w prywatnym saloniku ochmistrzyni posłusznie odpowiadała na jej pytania.

– Co ty sobie, na Boga, myślałaś? – dopytywała się starsza kobieta.

– Nie mogłam nic na to poradzić – tłumaczyła Emily. – Ona się do mnie odezwała.

– Ona? – powtórzyła ochmistrzyni. – Jaka ona?

– Lady Cavendish, proszę pani.

– A co ty robiłaś na drodze lady Cavendish?

– Przepraszam, proszę pani, ale to ona była na mojej drodze.

– Słucham?

Głos Emily załamał się.

– Właściwie niezupełnie na mojej drodze. To znaczy, ona była na schodach, kiedy wyszłam z salonu. Stała – to znaczy lady Cavendish – stała na schodach, podeszła do drzwi i zapytała, czy są otwarte. Potem powiedziała, że chce poranną herbatę i że mam to powtórzyć pannie Amelie. A potem... potem powiedziała o drzewie.

Pani Jocelyn nie spuszczała z dziewczyny wzroku.

– A ty idziesz i meldujesz to wszystko panu Brad eldowi. – Słowa te zostały wypowiedziane tonem pełnym pogardy.

– Nie, proszę pani – zaprotestowała Emily. – Szłam powiedzieć pani... Szłam powiedzieć kucharce... byłam w korytarzu, kiedy pan Brad eld...

Pani Jocelyn uniosła dłoń, by zatrzymać potok słów Emily. Siedziała w tapicerowanym fotelu przed kominkiem i od jakiegoś czasu bacznie przyglądała się dziewczynie.

– A teraz powiedz mi, co się z tobą dzieje.

Krew zastygła w żyłach Emily.

– Nic, proszę pani.

Starsza kobieta zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

– Przytyłaś.

Emily nic nie odpowiedziała.

– Podejdź do mnie.

Emily z wahaniem postąpiła krok czy dwa do przodu. Ochmistrzyni chwyciła ją za nadgarstek i pociągnęła na podłokietnik fotela. Nie spuszczaając wzroku z twarzy dziewczyny, położyła jej rękę na brzuchu.

– Myślisz, że nie wiem, co ci dolega? – spytała.

– Nic mi nie jest.

– Czyja to wina? Prócz tego, że oczywiście twoja, Emily?

– Nic mi nie jest – powtórzyła dziewczyna.

– Jacka Armitage'a? Czy któregoś z chłopaków z farmy?

Emily zachwiała się.

– Niczyja.

Pani Jocelyn westchnęła.

– Spodziewałam się, że ze wszystkich dziewcząt w tym domu akurat ty będziesz miała najwięcej rozumu – powiedziała. – I tak wszystkiego się dowiem. Znajdę winowajcę. – Przyciągnęła Emily jeszcze bliżej. – Który to miesiąc? Czwarty? Piąty? – dociekała, patrząc na dziewczynę podejrzliwie. – Czy więcej?

– Nie, nie, to nie to – upierała się Emily.

– Nie kłam mi w żywe oczy, dziecko.

– Nie o to chodzi. Żle się czułam. Za dużo jadłam.

– Ty? – Pani Jocelyn prychnęła szyderczo. – Przecież ty prawie nic nie jesz. Spójrz na swoje ramiona... na swoje ręce. Spójrz tylko. Sama skóra i kości. Głodzisz się na śmierć, żeby tylko nie było po tobie widać. Myślisz, że nie wiem? Uważasz, że nie mam oczu? Że nie widziałam tego do tej pory?

Emily zamknęła oczy.

– Nie Jack – wyszeptwała. – Nikt.

Ochmistrzyni bez ostrzeżenia puściła jej rękę. W kominku zasyczały węgle.

– Emily Maitland – powiedziała surowo. – Zważ na to, że jesteś pod bogobojnym dachem i Bóg z całą pewnością ukarze cię za te kłamstwa.

Tej nocy w podziemiach panowała prawdziwa gorączka. Zgodnie z tradycją w wigilię Bożego Narodzenia nakrywano do stołu w wielkim holu, a nie w jadalni. Jeden koniec tego ogromnego pomieszczenia zdobił siedmiometrowy świerk wycięty na terenie majątku, a drugi – kominek w stylu Tudorów, w którym płonęły grube drwa. Cała rodzina była już w domu. Pierwsze na dół zeszły dzieci: Harry, Charlotte i Louisa. Dziewczynki miały na sobie luźne suknie z cieniutkiej tkaniny, a Harry – nowy smoking sprowadzony z Londynu zaledwie tydzień wcześniej. Ich głosy

i śmiechy rozchodziły się po całym domu. Szesnaścioro gości zajmowało dziewięć pokoi gościnnych.

Cała służba, wszyscy prócz kamerdynera pana domu i osobistej pokojówki pani domu, pracowała w podziemiach. Kucharka, podkuchenna, dziewczka kuchenna i pomywaczka z pomocą dziewczyny do wszystkiego miały po łokcie roboty z przystawkami, *relève*, daniami z dziczyzny, *entremets*. Zupy, ryby, kotlety, mięsiwa i kaczka, przenoszone z ogromnych, czarnych, ołowianych pieców na stół i przekładane w naczynia stołowe, parowały, w związku z czym w kuchni unosiły się gęste opary. Zarządzający służbą, pierwszy lokaj i obu drugich lokajów zajmowali się nakrywaniem i podawaniem do stołu.

Trzy pokojówki miały za to chwilę oddechu. O wpół do szóstej wraz z resztą służby zjadły już lekki posiłek, a następnie dwie z nich zostały zawezwane, by pomóc Amelie w ubieraniu pań. Hélène de Montfort przywiozła własną służącą, drobną paryżankę, która nie mówiła po angielsku, Ida Stanning – też wzięła ze sobą sprawną i bezpretensjonalną dziewczynę, ale inne panie potrzebowały pomocy przy układaniu fryzur i drapowaniu sukni. Kiedy tylko goście zeszli na kolację, pokojówki wróciły do ich sypialni, by uporządkować ubrania, zaciągnąć zasłony, pozamykać okiennice, uzupełnić wodę w dzbankach i poustawiać krzesła.

Wycieńczona Emily schodziła właśnie tylnymi schodami, kiedy dogonił ją Harrison, pierwszy lokaj. Odkąd złapał ją na podwórzu i przyciskając twarz do jej twarzy, próbował pocałować, unikała go jak ognia. Śmierdziało od niego piwem, które podkraść z pokoju kredensowego Bradelda. Miała przeczucie, że dzisiaj zechce powtórzyć atak; o północy lokajom wolno było wznieść świąteczny toast kieliszkiem brandy.

– Witaj, Maitland – powiedział. – Jesteś sama?

Próbowała minąć go bez słowa.

– Idź poszukaj Marcha.

– Co?

- Nie odburkuj mi tak.
- Pana Marcha? – powtórzyła. – Nie wolno mi wychodzić na dwór.
- Przekazuję tylko polecenie pana Brada.
- Ale pan March jest w domku ogrodnika.
- Harrison westchnął.
- Przecież to oczywiste, prawda? Przekaż mu, że lady Cavendish życzy sobie, żeby przyniesiono gardenie ze szklarni.
- W środku kolacji?
- Po kolacji, głupia.
- Ale muszę najpierw poroznosić wodę po pokojach.
- W takim razie lepiej będzie, jak się pospieszysz, co? – Wysszczerzył zęby. – Nie chciałabyś przecież nikogo rozzarować, co? Jaśnie pani chce się pochwalić swoimi gardeniami, które zdobyły jakąś tam pieprzoną nagrodę.

Szarpnęła się do tyłu, jakby się na nią zamachnęła. Ale on po prostu minął ją, zadowolony, że udało mu się przemycić zakazane przekleństwo. Skręcając do kuchni, momentalnie przybrał obojętny wyraz twarzy. Nie minęło parę sekund, a pojawił się znowu z Nashem u boku. Obaj nieśli srebrne tace. W wypolerowanych, lekko wypukłych przykrywkach odbiła się postać stojącej w korytarzu Emily – plama białego fartuszka, skrawek bladej twarzy.

– No, idź już – rozkazał jej Harrison i skinął głową w kierunku pokoiku, w którym czyszczono i pastowano buty. – I włoż coś na siebie. Sprawiaj wrażenie, jakby ci się spieszyło.

Ruszyła biegiem. Zarzuciła na ramiona jakiś męski płaszcz, wyszła tylnymi drzwiami i ślizgając się niemal co krok, przecięła podwórze. Na końcu podwórza stał mur, a w nim furtka, przez którą można było się dostać do ogrodu kuchennego, tam z kolei skręcało się w lewo i przez furtkę w drugim murze wchodziło do ogrodu różanego. Wszędzie panowały ciemności – ogrody kuchenne

miały powierzchnię około stu jardów kwadratowych i z trzech stron były otoczone murem, a z jednej – szklarnią, wybudowaną czterdzieści lat wcześniej przez siódmego hrabiego. Ogrodnicy pracowali tu w pocie czoła, by dogodzić jaśnie państwu i spełnić wszelkie ich kaprysy. Ananasy, melony i truskawki owocowały na długo przed sezonem. Rosły tu również drzewa migdałowe i morele, a w samym końcu – palmy i paprocie. Paprocie, ostatni krzyk mody, stanowiły ulubione hobby pań. Emily wciąż biegła. Buty przemokły jej od śniegu pokrywającego zamiecione ścieżki. Dotarła do drzwi szklarni i pchnęła je. Tędy prowadziła najkrótsza droga do domku ogrodnika.

Weszła do środka i przystanęła, zatrzymana nagłą zmianą temperatury. Mimo że na zewnątrz leżał śnieg, tu było parno i wilgotno, a gdzieś sponad głowy skapywała woda. Emily podniosła wzrok i na zamkniętych oknach dachu zobaczyła warstwę matowych kropelek. Na wysokości pasa, wokół ścian zewnętrznych szklarni, biegły rury z ciepłą wodą, z których wydobywały się od czasu do czasu tajemnicze trzaski i bulgotania. Tu i ówdzie wzdłuż zielonej alei pomiędzy roślinami ustawiono ławeczki. Pewnego razu na wiosnę, kiedy Emily spiesznie przechodziła obok, by załatwić jakiś niecierpiący zwłoki sprawunek, widziała tu Charlotte i Louise. Zerknęła przez okno i zobaczyła, jak ślicznie wyglądają panienki. Czytały razem, a przez lutowane przez szyby promienie słońca rzucały plamy światła i cienia na ich białe sukienki. Mały terier dziewczynek, Max, zwinięty w kulkę spał głęboko u ich stóp. Patrzyła wtedy na córki jaśnie państwa jak na duchy z innego świata – takie piękne, beztroskie, i szczęśliwe.

Teraz też ruszyła chodniczką wzdłuż szklarni. Może sama rozpozna gardenie, może nie powinna iść po Marcha i przeszkadzać mu w kolacji, tylko zerwać kwiaty i zanieść je do domu? Jak wyglądają gardenie, zastanawiała się? Wiedziała, że to te, które pięknie pachną, ale czy rosną obok orchidei? Zatrzymała się obok kwiatów ustawionych w doskonale zaizolowanych donicach

chroniących je przed najmniejszym przeciągiem. Ogarnęła wzrokiem ich ciekawskie małe główki. Śliczności – równie piękne jak córki tego domu, i wydaje się, że równie kruche. Wyciągnęła rękę, by dotknąć płátka. Zobaczyła, jak czerwona jest przy nim jej skóra.

Nie należała do tego miejsca. Nie powinna była wcale tu przychodzić, co ona sobie w ogóle myślała? Nagle przyszło jej do głowy, że lokaj wcale nie wysłał jej do Marcha, że to był tylko okrutny i głupi żart Harrisona. Gdyby dotknęła któregoś kwiatka, choćby najdrobniejszego pączka, dostałaby po uszach. Oberwie jej się już za to, że samowolnie wyszła z domu. Pan March rozgniewa się, kiedy przyjdzie i mu w czymś przeszkodzi. Popęlniła błąd, głupi błąd. Może nawet teraz jej szukają, wołają – i co będzie im miała do powiedzenia? Że poszła do szklarni po kwiaty? Że wysłano ją z misją zupełnie dla niej nieestosowną?

Odwróciła się i nagle go ujrzała. Stał w cieniu, przy drzwiach. Obserwował ją, a teraz podszedł bliżej.

– To był żart – powiedziała.

– Nie żart, podstęp – sprostował. – Trudno, musiałem użyć Harrisona.

– Będę miała kłopoty.

– Nie, nie – mruknął. – Nie, nie. – Otoczył ją ramionami i spojrzał w jej twarz. – Moja droga dziewczynka – szepnął.

Próbowała się wyrwać.

– Nie jestem dziewczynką – odparła. – Zresztą, za twoją sprawą.

Pocałował ją. Pozwoliła. Pragnęła być kochana – choćby przez krótką chwilę. Chciała, by widziano ją tak, jak on ją widział. Stać się dla kogoś ważną, mieć imię – Emily, Emily – wypowiadane właśnie tak, jak je teraz szeptał. Potrzebowała choć troszkę wsparcia – już ono samo warte było całej reszty. Wsparcie i ciepło. Chętnie ułożyłaby się tu, przy kwiatkach, szczelnie otulona przed zimnem.

– Wciąż jesteś moją drogą, małą dziewczynką – wyszeptał.
Znowu próbowała się wyrwać, zapierając się rękami o jego ramiona.

– Nie jestem – odparła. – Nie widzisz tego? Nie należę do ciebie.

Uśmiechał się, jakby jej nie słyszał. Wydobyl z kieszeni małą paczuszkę, granatowe pudełeczko.

– Co to? – zapytała.

– Jest Boże Narodzenie – odparł. – Mam dla ciebie prezent.

Trzymając pudełeczko w dłoni, nie spuszczała oczu z jego twarzy.

– Co to jest?

– Otwórz, to zobaczysz.

– Muszę wracać.

– Zobacz chociaż, co ci przyniosłem.

Otworzyła aksamitne wieczko. W środku leżał cienki złoty łańcuszek, a każde jego oczko miało kształt serduszka.

– Podoba ci się?

Zamknęła pudełko i podała mu z powrotem.

– Nie mogę tego przyjąć.

Zacisnął dłoń wokół jej palców.

– Niech to będzie nasz sekret.

– Nie rozumiesz? Kiedy miałabym to nosić? Inne służące by zobaczyły. Co bym im powiedziała?

– Że dostałaś to w spadku po jakiejś ciotce.

Spojrzała na niego i potrząsnęła głową.

– Może w twoim świecie to byłoby możliwe – rzekła. – Ale nie w moim.

Zaśmiał się.

– Kochanie, ty jesteś moim światem. Proszę, przyjmij to.

Drżała na całym ciele. Powietrze nagle stało się za gęste, by nim oddychać.

– Muszę stąd odejść – powiedziała.

Dla rodziny Cavendishów Rutherford Park to znacznie więcej niż dom. To styl życia wyznaczany przez przywileje i surowe zasady – a także przez niewysłowione pragnienia...

Lady Octavia Cavendish żyje jak w złotej klatce. Fortuna, którą wniosła w posagu, pozwoliła jej mężowi, Williamowi, odnowić oblicze majątku, on sam czuje się jednak uwięzany przez zobowiązania i tytuł szlachecki. Od syna Cavendishów, Harry’ego, oczekuje się, że pójdzie w ślady ojca, ale chłopak żyje swoimi marzeniami: chce zostać pilotem. Tymczasem w pomieszczeniach dla służby pokojówka Emily skrywa tajemnicę, która może okryć ród Cavendishów hańbą.

W wigilię Bożego Narodzenia 1913 roku Octavia przyłapuje męża w niedwuznacznej sytuacji z jego okrytą sławą skandalistki piękną kuzynką. Chwilę później Emily wymyka się z domu, by wyjawić światu swój sekret. Na horyzoncie zbierają się czarne chmury, nadciąga wojna, a w Rutherford Park pulsują skrajne emocje...



BOOKLIPS.PL IIIII

www.marginesy.com.pl



cena 39,90 zł